

Ekonomia, filozofia i polityka

— wywiad z Hansem-Hermannem Hoppe

Autor: **Hans-Hermann Hoppe**

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: **Przemysław Hankus**

Wywiad przeprowadził *Emrah Akkurt*
z tureckiego [The Association for Liberal Thinking](https://www.theassociationforliberalthinking.com/)

Akkurt: *W jaki sposób stał się pan libertarianinem i którzy z myślicieli byli najważniejsi w kształtowaniu pana idei?*

Hoppe: Jako młody człowiek, uczeń szkoły średniej w Niemczech, byłem marksistą. Następnie, jako student na Uniwersytecie we Frankfurcie, natknąłem się na krytykę Marksa ze strony Böhm-Bawerka i na tym zakończyła się dla mnie marksistowska ekonomia.

W rezultacie przez krótki okres czasu stałem się nieco sceptykiem, którego pociągała pozytywistyczna i w szczególności falsyfikacjonistyczna metodologia Popperowska oraz Popperowski program fragmentarycznej inżynierii społecznej. Tak jak Popper byłem wówczas prawicowym (prawoskrętnym) socjaldemokratą. Następnie sprawy potoczyły się bardzo szybko. Najpierw natknąłem się na Milтона Friedmana (całkiem niezły), później na Hayeka (lepszy), Misesa (o wiele lepszy z uwagi na precyzyjną Misesowską antypozytywistyczno-aprioryczną metodologię), wreszcie na najważniejszego następcę teorii Misesa — Murraya N. Rothbarda.

Akkurt: *W jakim zakresie pana wykształcenie pokrywa się z byciem przez pana libertarianinem?*

Hoppe: Nie nauczyłem się ani o libertarianizmie, ani o wolnorynkowej ekonomii na uniwersytecie. Moi profesorowie byli albo socjalistami, albo interwencjonistami (etatystami). Czasem (bardzo rzadko) wspomniano nazwiska wolnorynkowców: Böhm-Bawerka, Misesa, Hayeka, a także Herberta Spencera jako socjologa.

Jednakże byli oni odrzucani jako przestarzali apologeci kapitalizmu, niewarcsi poważnego zainteresowania ze strony kogokolwiek. Musiałem zatem odkrywać wszystko w zasadzie na własną rękę poprzez masę czytania (co z perspektywy wydaje się stratą czasu).

Dzisiaj możesz kliknąć na mises.org i masz wszystko pod ręką. Pod tym względem na pewno wiele się poprawiło.

Akkurt: *W pierwszych latach stulecia (XX w.) „kapitalistyczni” ekonomiści znajdowali się na pozycjach obronnych. Było tak w szczególności zanim rozpoczęła się krytyka ze strony Misesa. Pisma Misesa były decydujące w ustawieniu socjalistów na dzisiejszych pozycjach obronnych. Dzieła Misesa utorowały także drogę do wydzielenia szkoły austriackiej w ekonomii poza paradygmatem neoklasycznym. Czy sądził pan, podczas swojej edukacji, że szkoła austriacka była lub powinna być odrębna od myśli neoklasycznej? Jak wyglądał proces przechodzenia od krytycyzmu do podejść alternatywnych?*

Hoppe: Do lat 50. XX w. większość ekonomistów podzielała pogląd na naturę ekonomii, który został wyrażony przez [Lionela Robbinsa](#) w jego słynnym dziele *Natura i znaczenie nauki ekonomii (Nature and Significance of Economic Science)* z 1932 r. Robbins, będący wówczas pod silnym wpływem Misesa, zaprezentował w nim ekonomię jako swego rodzaju logikę stosowaną (Mises nazwałby to „prakseologią”). Zaczynała się ona od kilku prostych i w oczywisty sposób prawdziwych przesłanek (aksjomatów) i następnie poprzez logiczną dedukcję prowadziła do różnych wniosków (twierdzeń ekonomicznych). Te wnioski lub twierdzenia były — o ile nie popełniono żadnego błędu w procesie dedukcji — logicznie prawdziwe; byłoby kategorycznym błędem, gdyby ktoś chciał „empirycznie przetestować” takie twierdzenia. (Podobnie nie „testujemy empirycznie” logicznych prawd i argumentów lub twierdzeń matematycznych. Przykładowo, nie testujemy empirycznie twierdzenia Pitagorasa; możemy je udowodnić dedukcyjnie, a ten, kto zapragnie „udowodnić” je empirycznie, mierząc kąty i długości boków, nie zostanie uznany za „bardziej naukowego”, a raczej za totalnie zagubionego i zdezorientowanego). Dzisiaj jedynie austriacy w dalszym ciągu bronią tego (moim zdaniem poprawnego) postrzegania ekonomii jako logiki stosowanej.

Od lat 50. XX w., w dużej mierze z uwagi na wpływ Milтона Friedmana, większość spośród ekonomistów przyjęło zamiast tego „pozytywistyczne” spojrzenie, że ekonomia winna starać się naśladować metody stosowane w

fizyce. W rezultacie, współczesna ekonomia stała się matematyką na niskim poziomie (matematyką niskich lotów) bez żadnego empirycznego znaczenia lub jakiegokolwiek możliwości zastosowania. Inaczej — buduje ona i testuje tzw. modele, tym samym „dowodząc” (w najlepszym razie) tego, co jest już oczywiste dla każdego, jak to, że woda spływa w dół, lub ukazując środkami empirycznymi to, co można ustalić logicznie (jak empiryczne potwierdzenie twierdzenia Pitagorasa). W wielu jednak przypadkach tą samą metodą „udowadniają” także, że woda czasem płynie w górę i — co absurdalne — że twierdzenie Pitagorasa jest czasem nie do utrzymania. W skrócie: współczesny główny nurt ekonomii znajduje się w stanie całkowitej dezorientacji.

Gdy zacząłem studiować ekonomię uczono mnie równolegle pozytywistycznej metodologii. Jednakże od samego początku nie byłem do tego przekonany. Prawo użyteczności krańcowej lub ilościowa teoria pieniądza, lub twierdzenie, że jeśli podniesie się płacę minimalną w USA do 500 dolarów za godzinę, to spowoduje się masowe bezrobocie, nie wydawały mi się wątpliwymi hipotezami, wymagającymi jakichkolwiek testów empirycznych, ale jawiły się jako proste prawdy logiczne. Zajęło mi trochę czasu odkrycie, że było to w zasadzie podejście klasyczne, za którym bardzo wyraźnie opowiadali się Robbins i Mises. Odkrywanie Misesa i Robbinsa stało się dla mnie ogromną intelektualną ulgą (odprężeniem) i sprawiło, że po raz pierwszy zacząłem poważnie zajmować się (i studiować) ekonomią.

Ekonomia głównego nurtu jest oderwana od tematu, lecz otwarta na ideę społecznego eksperymentowania i inżynierii (bo jak inaczej można przetestować daną hipotezę?). Właśnie dlatego nowoczesne państwo interwencjonistyczne pragnie finansować całe to przedsięwzięcie. Szkoła austriacka — przeciwnie — ma wielkie znaczenie praktyczne, ale generalnie stoi ona w opozycji do gospodarczego interwencjonizmu jako działalności kontrproduktywnej. Nie powinno zatem dziwić, że szkoła austriacka otrzymuje bardzo niewielkie bądź brak wsparcia ze strony państwa. Niemniej jednak jestem optymistą, że ekonomia głównego nurtu ostatecznie upadnie z powodu swego oderwania od rzeczywistości (artykuły w znanych periodykach głównego nurtu w zasadzie nie mają czytelników), zastąpiona przez szkołę austriacką. Już teraz witryna internetowa Instytutu Misesa ma więcej czytelników niż jakakolwiek porównywalna witryna ekonomii głównego nurtu.

Akkurt: *W swej nowoczesnej postaci szkoła austriacka, kładąc nacisk na prawa własności, przedsiębiorczość i wolność, ma naturalnych sprzymierzeńców pośród różnych szkół ekonomii. Przykładowo, podejście do [praw własności Alchiana](#) i [Coase'a](#) w dużej mierze zajmuje podobne pozycje jak austriacy. Czy uważa pan, że pisma Misesa w jakiś sposób wywarły wpływ na uwypuklenie praw własności i podejście oparte na rynku poza środowiskiem austriaków? Czy był jakiś dostrzegalny związek między Misesem a którymś z tych badaczy?*

Hoppe: Nie wiem nic o jakimkolwiek intelektualnym związku Misesa z nowoczesną szkołą chicagowską (w prawie i w ekonomii), w szczególności z Coase'em i idącym w jego ślady [Richardem Posnerem](#). Z drugiej strony, Hayek był jednym z profesorów Coase'a w London School of Economics.

W każdym razie: uważam podobieństwo między austriackim a chicagowskim postrzeganiem prawa i ekonomii za ledwie powierzchowne. W rzeczywistości, obie te tradycje intelektualne są względem siebie fundamentalnie przeciwne. Jest to powszechny, lecz poważny błąd uważać szkołę chicagowską za obrońcę praw własności. W rzeczywistości bowiem Coase i jego naśladowcy są najgroźniejszymi wrogami praw własności. Wiem, że dla niektórych może to brzmieć niewiarygodnie. Pozwól mi zatem, że to wyjaśnię, używając jednego z przykładów Coase'a z jego słynnego artykułu o koszcie społecznym.

Linia kolejowa przebiega obok farmy (gospodarstwa rolnego). Silnik emituje iskry, uszkodzając plony rolnika. Co należy zrobić? Z austriackiego (jak również z klasycznego i ze zdroworozsądkowego) punktu widzenia należy odpowiedzieć na pytanie, kto jako pierwszy ustanowił własność: rolnik czy kolej? Jeśli to rolnik był tam pierwszy, może on zmusić linię kolejową do zaprzestania emisji iskier lub zażądać rekompensaty. Z drugiej strony, jeśli to linia kolejowa była tam jako pierwsza, wówczas może w dalszym ciągu emitować iskry a rolnik musi zapłacić, by być wolnym od iskier (*to be spark-free*).

Odpowiedź Coase'a i Posnera jest całkowicie odmienna. Ich zdaniem błędem jest myślenie o rolniku i linii kolejowej w kategoriach „dobry” albo „zły” (odpowiedzialny) bądź „agresor” albo „ofiara”. Pozwól, że zacytuję sam początek słynnego artykułu Coase'a. Stwierdza on tam, że „powszechnie kwestia ta uważana jest za taką, w której A szkodzi B i tym, co należy rozstrzygnąć, jest: jak powinniśmy ograniczyć (powstrzymać) A? Jest to jednak błędne. Mamy do czynienia z problemem natury wzajemnej, obustronnej. Aby uniknąć krzywdy dla B, należałoby zaszkodzić A. Rzeczywista kwestia, którą należy rozstrzygnąć, to:

czy A może mieć możliwość zaszkodzenia B lub czy B może mieć możliwość zaszkodzenia A? Problemem jest uniknięcie poważniejszej szkody. Lub ujmując to inaczej, problemem jest maksymalizacja wartości produkcji lub „bogactwa”. Zdaniem Posnera, cokolwiek przyczynia się do zwiększenia społecznego bogactwa jest sprawiedliwe, a cokolwiek się do tego nie przyczynia sprawiedliwym nie jest. Zadaniem sądów jest zatem przypisanie praw własności (i odpowiedzialności) współzawodniczącym stronom w taki sposób, by „bogactwo” było maksymalizowane.

Odnosząc to do naszego przypadku, oznacza to, że jeśli koszt zapobiegania emisji iskiei jest niższy od strat w plonach, wówczas sąd powinien stanąć po stronie rolnika i uznać linię kolejową za odpowiedzialną. Odwrotnie, gdy koszt zapobiegania emisji iskiei jest wyższy od strat w plonach, wówczas sąd powinien stanąć po stronie linii kolejowej i uznać rolnika odpowiedzialnym. Co ważniejsze, oznacza to, że także prawa własności (oraz odpowiedzialność) nie są już czymś stabilnym, stałym i niezmiennym, lecz stają się „zmiennymi”. Sąd przypisuje prawa własności w zależności od danych rynkowych. Jeśli te dane ulegną zmianie, sądy mogą ponownie przypisywać te prawa. A zatem, różne okoliczności mogą prowadzić do redystrybucji tytułów własności. Nikt nigdy nie może być pewnym swojej własności. Prawna niepewność staje się permanentna, trwała. Nie jest to ani sprawiedliwe, ani ekonomiczne. W szczególności ten „zmienny” sposób przypisywania praw własności z całą pewnością nie doprowadzi do długoterminowej maksymalizacji bogactwa.

Akkurt: *W niektórych ze swoich prac uwypukla pan, że Hayek podkreśla rolę wiedzy, ignorując lub zaniehbując własność prywatną. Czy uważa pan, że Hayek celowo zignorował i niewystarczająco zaakcentował kluczowe miejsce, jakie zajmuje własność prywatna? Czy mógłby pan naszym czytelnikom krótko opisać swoje postrzeganie własności i wiedzy w przedsiębiorczej gospodarce?*

Hoppe: Hayek faktycznie zawsze, już od czasów studenckich, interesował się psychologią. Napisał o tym ciekawą książkę (*Sensory Order*). To może tłumaczyć jego szczególny nacisk na wiedzę i jego relatywne, względne zaniehbanie własności. Przykładowo, Hayek napisał słynny artykuł o „Zastosowaniu wiedzy w społeczeństwie” (*Use of Knowledge in Society*). Mises nigdy nie napisałby artykułu pod takim tytułem. Jego tytuł brzmiałby „Zastosowanie własności w społeczeństwie” (*Use of Property in Society*).

W słynnej debacie kalkulacyjnej Hayek często sprawiał wrażenie, że głównym problemem socjalizmu była „niemożność” scentralizowania w jednym umyśle (centralnego planisty) całej istniejącej wiedzy, rozproszonej w głowach oddzielnych jednostek. Na co ja zwróciłem jednak uwagę, w zgodzie z Misesem, to fakt, że podstawowym problemem socjalizmu jest problem centralizacji (koncentracji) wielości fizycznie rozproszonych i prywatnie posiadanych *własności* w jedną *własność* jednego organu (państwa socjalistycznego). Ta koncentracja wszelkiej *własności* w jednym ręku czyni kalkulację ekonomiczną niemożliwą. Ponieważ tam, gdzie jest tylko jeden właściciel dóbr kapitałowych, nie ma ani kupna, ani sprzedaży tych dóbr, a zatem żadne ceny dóbr kapitałowych nie istnieją i kalkulacja pieniężna jest niemożliwa.

Co do wyjątkowej, indywidualnej wiedzy na temat miejsca i czasu, którą podkreślał Hayek, ważne jest mieć na uwadze to, że wiedza ta jest w zasadzie wynikiem — lub epifenomenem — skrytej różnorodności *własności* prywatnej. To nasza *własność* i wymóg (potrzeba) stałego działania w ramach ograniczeń naszej *własności* przede wszystkim wpływają na to, jaka wiedza (z całej obfitości wiedzy ogólnej) jest dla nas *ważna* i to dalej kieruje, formuje i indywidualizuje nasze zainteresowania i poszukiwania wiedzy.

Przedsiębiorca ryzykuje swoją *własnością*, aby zaspokoić pewne przyszłe, oczekiwane potrzeby konsumentów lepiej niż inni. Jeśli mu się powiedzie, odnotuje zysk oznaczający, że dobrze służy konsumentom. Jeśli odniesie porażkę, odnotuje stratę oznaczającą, że źle służy konsumentom. Ponieważ ryzykują swoją *własnością*, przedsiębiorcy są ogółem ostrożni i rozważni w swych inwestycjach, starając się uniknąć straty. „Źli” (odnotowujący stratę) przedsiębiorcy prędzej czy później zbankrutują i staną się pracownikami (w miejsce bycia pracodawcą), a ich źle zainwestowane dobra kapitałowe zostaną wykupione (po odpowiednio niższych cenach) przez innych lub nowych przedsiębiorców.

Przy okazji: w przeciwieństwie do nich, rządowi oficjele *nie* produkują niczego, czego pragnęliby konsumenci (w przeciwnym razie nie potrzebowaliby podatków, by się finansować; po prostu sprzedawaliby jakiegokolwiek „dobra”, jakie mieliby do zaoferowania i żyli z przychodu z ich sprzedaży). Rządowi oficjele wydają przychody podatkowe na to, co *oni* uważają za dobre, a nie na to, co jest dobre dla konsumentów. Co więcej, rządowi oficjele, którzy nie wydają *własnych* pieniędzy, lecz pieniądze przymusowo odebrane innym w postaci

podatków, zwykle są nieostrożni, niedbali i rozrzutni w zarządzaniu tymi funduszami.

Akkurt: *Jak postrzega pan szkołę wyboru publicznego? Jeśli się nie mylę, krytykuje pan Jamesa Buchanana za obronę państwa. Czy mógłby pan krótko opisać swój pogląd na tę sprawę? Dlaczego istnieje napięcie między pana myślą a wyborem publicznym?*

Hoppe: Szkoła wyboru publicznego — głównie [Buchanan](#) i [Tullock](#) — jest zwyczajowo doceniana za przenikliwe spostrzeżenie, że ludzie pracujący dla rządu kierują się własnym interesem tak samo, jako ludzie poza rządem, np. w prywatnym biznesie. Ludzie nie zmieniają swej natury i nie stają się mniej interesowni, mniej zainteresowani własną korzyścią, stając się rządowymi oficjelałami.

Jest to oczywiście w sposób fundamentalny prawidłowe spostrzeżenie. Lecz nie jest ono nowe. Można je znaleźć wszędzie w literaturze. Z pewnością „realistyczni” socjologowie polityczni, jak Gaetano Mosca i Robert Michels, a także, rzecz jasna, austriacy już o tym wiedzieli.

Tym, co *jest* nowe w szkole Buchanana-Tullocka, jest jej teoria państwa i politycznego (w przeciwieństwie do gospodarczego) działania. Jednakże ta innowacja jest ewidentnie fałszywa. Buchanan i Tullock sądzą, że państwo jest w zasadzie dobrowolną instytucją, podobnie jak prywatne firmy. Twierdzą, że „rynek i państwo są urządzeniami, poprzez które współpraca jest organizowana i staje się możliwa” (*Calculus of Consent*, s. 19), a ponieważ państwo jest jak firma, Buchanan konkluduje w swoich *Limits of Liberty*, że cokolwiek dzieje się w polityce, każde *status quo*, „musi być oceniane tak, jak gdyby było ono legitymizowane kontraktualnie (jako wynikające z umowy).”

Wszystko to uważam za niebezpieczny nonsens. Przed Buchananiem i Tullockiem istniała niemal powszechna zgoda, bez względu na to, czy ktoś był apologetą państwa czy anarchistycznym krytykiem państwa, co do *natury* państwa, np. czym państwo faktycznie *było*. Państwa uznawano za kategoriałnie inne formy organizacji aniżeli firmy: w przeciwieństwie do nich, każde państwo zasadniczo opierało się na przymusie. Przeciwnie twierdzenie Buchanana byłoby uznane za dziecinny błąd intelektualny.

Wielki austriacki ekonomista Joseph Schumpeter (członek raczej Lozanny niż Wiednia czy szkoły austriackiej), poczynił swego czasu uwagę na temat poglądów takich, jak te Buchanana: „teoria, która interpretuje podatki w analogii

do klubowych składek członkowskich lub zapłaty za usługę — powiedzmy — lekarza dowodzi jedynie, jak daleko ta część nauk społecznych oddaliła się od naukowych nawyków umysłu”. Całkowicie zgadzam się z tym werdyktem.

Akkurt: *Profesorze Hoppe, przejdźmy do spraw bardziej politycznych. Jaka jest pana opinia jako libertarianina na temat amerykańskiej interwencji w Iraku? Czy uważa pan, że wydarzenia, które rozpoczęły się 11 września stały się niefortunnym zwrotem dla myśli libertariańskiej?*

Hoppe: Libertarianie od zawsze wiedzieli, że kryzysy, a szczególności wojny, są dobre dla państwa i złe dla wolności. Pod płaszczykiem nadzwyczajnych okoliczności siła (*power*) państwa jest wzmacniana, a wolność jednostek ograniczana. Dokładnie to stało się w USA po 11 września po uchwaleniu tzw. [*Patriot Act*](#), powołaniu [*Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego*](#) (*Homeland Security*), *quasi*-nacionalizacji lotnisk i ich bezpieczeństwa itd.

Co więcej, ponieważ kryzysy są dobre dla państwa, często — jeśli nie zawsze — państwa *wymyślają* te kryzysy. Przykładowo, wydaje się obecnie raczej przekonującym dowodem, że amerykański prezydent Roosevelt wiedział o nadciągającym ataku Japonii na Pearl Harbor. Jednakże nic z tym nie zrobił, ponieważ *chciał*, by to zdarzenie zaszło po to, by móc przedstawić „powód” amerykańskiej opinii publicznej, który to pozwoliłby mu na przystąpienie do II wojny światowej — czego pragnął już od jakiegoś czasu.

Co do Iraku, nie wiemy jeszcze wszystkiego. Pewnym jest jedynie to, że prezydent Bush i jego kumple (*cronies*) to banda bezwstydných kłamców. Jednak to nie żadne zaskoczenie. Od jakiegoś czasu mam w zwyczaju *przypuszczać*, że rządowe oświadczenia (tak w USA, jak i wszędzie indziej) okażą się kłamstwem — o ile nie zostanie to udowodnione w inny sposób. Staje się coraz bardziej oczywistym, że ludzie Busha zdecydowali się na wojnę w Iraku na długo przed 11 września. Jednak bez 11 września niemożliwym byłoby to uczynić, z uwagi na brak poparcia dla działań wojennych amerykańskiej opinii publicznej. 11 września dostarczył „powodu” do przeprowadzenia planowanego ataku. Naturalnie, skłania cię to do zastanowienia, czy ludzie Busha — tak, jak Roosevelt — wiedzieli zawczasu o tym wydarzeniu i zdecydowali się wykorzystać je na swoją korzyść. Nie twierdę, że znam odpowiedź na to pytanie. W niemieckich publikacjach — przykładowo — odnotowywano, że niemiecki „wywiad” dostarczył USA szczegółowych ostrzeżeń z wyprzedzeniem. Może minąć sporo czasu, nim dowiemy się, co tak *naprawdę* się wydarzyło.

Tak czy inaczej, atak na Irak był rezultatem dziwaczego pomieszania ewangelicznego zapału misjonarskiego, syjonizmu i *hard-nosed* gospodarczego imperializmu (ropa), które szły ze sobą w parze w administracji Busha. Irak był po prostu celem idealnym. Początkowo, istniało w USA dość wyraźne wsparcie dla wojny w Iraku, nawet pomimo oczywistego braku powiązań między Saddamem Husseinem i Osamą bin Ladenem. Oczywiście smutna jest dla libertarian sytuacja, kiedy czyjś sąsiad traci zmysły i głośno domaga się zabijania i niszczenia domów ludzi, których nie zna i którzy nie wyrządzili mu żadnej szkody. Powolnie, jednak z całą pewnością, Amerykanie powracają do zdrowia po tej chwilowej utracie zdrowego rozsądku i zdrowia psychicznego i zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że zostali zdradzeni.

Byli także i tzw. libertarianie, afiliowani przy różnych organizacjach nazwanych imieniem powieściopisarki Ayn Rand, którzy entuzjastycznie wspierali wojnę w Iraku i żądali nawet, by USA „wyzwoliły” cały świat muzułmański. Prawdziwie libertariańskie stanowisko jest inne. Libertarianie nie są pacyfistami. Jednak w ich mniemaniu, przemoc jest usprawiedliwiona jedynie dla celów obrony, nie dla ataku i z pewnością USA nie działały w samoobronie przeciwko atakującemu je Irakowi. To prawda, że Saddam Hussein był „złym człowiekiem”. Nie czyni to jednak amerykańskiej inwazji oraz okupacji Iraku aktem wyzwolenia. Jeśli A uwalnia B, który przetrzymywany jest jako zakładnik przez C, jest to akt wyzwolenia. Jednakże *nie* jest aktem wyzwolenia, gdy A uwalnia B z rąk C po to, by samemu wziąć B jako zakładnika. *Nie* jest wyzwoleniem, jeśli A uwalnia B z rąk C, zabijając D. Nie jest także aktem wyzwolenia, jeśli A siłą odbiera D pieniądze, by uwolnić B od C. Dlatego też, w przeciwieństwie do prawdziwego wyzwolenia, które witane jest przez wyzwalanego z przyzwoleniem, zgodą, amerykańska okupacja spotkała się z o wiele mniej niż powszechnym entuzjazmem ze strony „wyzwolonych” Irakijczyków.

Akkurt: *Co sądzi pan na temat roli państwa w społeczeństwie? Jest ono praktyczną koniecznością czy koniecznym złem? Jak opisałby pan proces przechodzenia z modelu etatystycznego, jak w Turcji, do społeczności klasycznie liberalnej?*

Hoppe: Po pierwsze musimy szybko zdefiniować, co rozumiemy przez państwo. Ja przyjmuję coś, co można nazwać standardową definicją: państwo jest agencją sprawującą terytorialny monopol na ostateczne wydawanie wyroków (dla

wszystkich przypadków konfliktów, w tym konfliktów z udziałem samego państwa) i — tym samym — na opodatkowanie.

Teraz, z mikroekonomii wiemy, że „monopole” są „złe” z punktu widzenia konsumentów. Monopol jest tym samym rozumiany w swym klasycznym znaczeniu jako wyłączny przywilej nadany jednemu producentowi towaru lub usługi, np. w postaci braku „swobodnego wejścia na rynek”. Jedynie A może produkować x. Każdy tego rodzaju monopolista jest dla konsumentów złem, ponieważ — chroniony przed potencjalnymi nowymi uczestnikami jego obszaru produkcji — ustali cenę x na wyższym poziomie i będzie on niższej jakości niż byłoby w przypadku braku monopolu.

Dlaczego zatem to rozumowanie miałyby być inne, gdy mowa o państwowym monopolu jako ostatecznego sędziego i egzekutora praw?! Zważywszy, że państwo jest klasycznym monopolistą, musimy spodziewać się tego, że cena usług sądowniczych będzie wyższa, a ich jakość niższa, niż w przypadku braku tego monopolu. Co gorsze, jako że państwo jest sędzią nawet w konfliktach, w które samo jest zaangażowane, należy spodziewać się, że państwo w zasadzie stworzy konflikt po to, by następnie „rozwiązać” go we własnym interesie. Nie jest to jednak sprawiedliwość — *dobro* — lecz niesprawiedliwość — *zło*. Zatem, odpowiadając na pytanie: nie, uważam państwo za zło niekonieczne. W łaździe naturalnym, z wielością konkurujących agencji ubezpieczeniowych i arbitrażu, cena usług sądowniczych spadłaby, a ich jakość wzrosła. Moje dwie najnowsze książki, w szczególności *Demokracja — bóg, który zawiódł* oraz *The Myth of National Defense* wyjaśniają dosyć szczegółowo, w jaki sposób społeczeństwa bezpaństwowe, które same sobą zarządzają, funkcjonowałyby i generowały niezrównane dotąd bogactwo i *prosperity*.

Co z transformacją w stronę wolności dla krajów takich, jak Turcja? Odpowiedź, którą mam, jest zasadniczo taka sama dla Turcji, jak i dla Niemiec, Francji, Włoch czy jakiegokolwiek innego dużego kraju. Demokracja lub demokratyzacja *nie* są odpowiedzią — tak samo, jak *nie* były one odpowiedzią w krajach byłego Imperium Sowieckiego. Nie jest nią także centralizacja — z jaką mamy do czynienia w UE. Być może moja książka powinna zostać przetłumaczona na turecki!

Przeciwnie, największa nadzieja na wolność pochodzi z małych państw: Monako, Andory, Liechtensteinu, nawet Szwajcarii, Hong-Kongu, Singapuru, Bermudów itp. I jeśli ktoś uważa się za liberała, to powinien żywić nadzieję na

powstanie świata tysiąca małych, niezależnych bytów. Dlaczego nie miałyby powstać niezależne miasto Istanbuhu czy Izmiru, które zachowałyby przyjazne stosunki z centralnym rządem tureckim, lecz nie płaciłyby już podatków ani nie otrzymywałyby żadnych świadczeń oraz nie uznawałyby centralnego prawa, lecz miałyby własne prawo — stambulskie czy izmirskie? Zwolennicy państwa centralnego (oraz form ponadnarodowych, takich jak Unia Europejska) uważają, że przyzwolenie na istnienie tego rodzaju politycznie niezależnych jednostek doprowadziłaby do ekonomicznej dezintegracji i zubożenia. Jednak nie tylko dowody empiryczne wskazują na niewłaściwość tej argumentacji: wszystkie z wspomnianych wcześniej małych państw są bogatsze niż te dookoła nich. Co więcej, refleksja teoretyczna również dowodzi, że jest to po prostu kolejny etatystyczny mit. Małe rządy mają wielu bliskich konkurentów. Jeśli wprowadzą zbyt wysokie podatki lub zbyt duże regulacje w porównaniu do swych konkurentów, doprowadzą do bolesnego dla siebie odpływu siły roboczej lub kapitału. Ponadto im mniejsze jest państwo, tym większa presja, by stawiać na wolny rynek kosztem protekcjonizmu. Każda rządowa ingerencja w handel zagraniczny prowadzi do relatywnej pauperyzacji — tak wewnątrz, jak i na zewnątrz. Lecz im mniejsze terytorium i rynki wewnętrzne, tym bardziej bolesny będzie jej efekt. Jeśli Stany Zjednoczone wybrałyby protekcjonizm, średni poziom życia w USA obniżyłby się, lecz nikt by nie głodował. Jeśli pojedyncze miasto, przykładowo Monako, zrobiłoby to samo, niemal natychmiastowo by to odczuło. Uznajmy gospodarstwo domowe za wyobraźalnie najmniejszą jednostkę separatystyczną. Angażując się w nieograniczony wolny handel, nawet najmniejsze terytorium może w pełni integrować się z rynkiem światowym i czerpać zyski z każdej zalety podziału pracy. Jego władarze mogą natomiast stać się najzamożniejszymi ludźmi świata. Z drugiej strony jeśli właściciele tego samego gospodarstwa zdecydowałiby się na zaniechanie międzyterytorialnego handlu, skończyłoby się to nędzą lub śmiercią. Zatem im mniejsze terytorium i im mniejszy jego rynek wewnętrzny, tym prawdopodobieństwo, że wybierze drogę wolnego rynku jest większe. Co więcej, mogę jedynie wskazać, lecz już tego tutaj nie wyjaśnię, że secesja propaguje integrację monetarną i doprowadziłaby do zastąpienia obecnego systemu monetarnego opartego na niestabilnych walutach narodowych pieniądzem towarowym będącym zupełnie poza kontrolą rządową. Podsumowując, świat składałby się z małych liberalnych państw, zintegrowanych

gospodarczo poprzez wolny rynek i międzynarodowy pieniądz towarowy, jak np. złoto. Byłby to świat niesłychanego dobrobytu, wzrostu gospodarczego i rozwoju kulturalnego.

Akkurt: Co sądzi pan na temat myśli libertariańskiej w krajach rozwijających się? Czy sądzi pan, że pod wpływem MFW i Banku Światowego mogą one odnaleźć drogę do gospodarki *bardziej wolnorynkowej*? *Czy jest pan optymistą w kwestii przyszłości tych krajów, w tym Turcji, w odniesieniu do klasycznych liberalnych wartości?*

Hoppe: Ludzkość obdarzona jest rozumem. Zatem zawsze możemy być pełni nadziei, że ostatecznie to prawda zwycięży. To, czy można lub nie być optymistą w odniesieniu do jakiegokolwiek kraju, jak np. Turcja, zależy od odpowiedzi na pytanie: jak wielu i w jakiej proporcji członków elity intelektualnej danego kraju ma solidną wiedzę o ekonomicznych podstawach, fundamentach? Jest to także jednym z głównych zadań liberalnego *think-tanku*, by kształcić, edukować i „powielić” takich ludzi i tym samym tworzyć *powody* do optymizmu.

W „rozwijającym się” świecie trzeba zrozumieć jedno: istnieją *powody*, dla których pewne kraje są bogate a inne biedne — i właśnie te powody mają niewiele wspólnego z „wyzyskiem” biednych przez bogatych (choć takie zjawisko niewątpliwie także istnieje). Istnieje tylko jedna droga do ogólnego dobrobytu i *prosperity*: poprzez oszczędności i inwestycje. Biedne kraje są biedne, ponieważ zakumulowały niewiele kapitału. Dlaczego jest wiele oszczędności-inwestycji i akumulacji kapitału w jednych miejscach i niewiele w drugich? Ponieważ w pewnych miejscach istnieje relatywnie wysoki poziom bezpieczeństwa dla własności prywatnej bądź też istniał on w przeszłości, podczas gdy w innych miejscach własność prywatna jest lub była pod stałym zagrożeniem w postaci konfiskaty, opodatkowania i regulacji. Tam, gdzie własność prywatna nie jest bezpieczna, gdzie nie jest zabezpieczona, tam też będzie niewiele oszczędności i inwestycji.

Dlaczego jest tak niewiele lub są tak niewielkie zagraniczne inwestycje w tzw. rozwijającym się świecie, pomimo faktu, że koszty pracy są tam znacznie niższe niż w USA czy Europie Zachodniej? W USA ciągle słyszy się stałe narzekania na „eksport miejsc pracy” do krajów Trzeciego Świata o niskich stawkach płac. Jednakże niezwykłą rzeczą jest to, jak *niewielki* ten rodzaj eksportu jest w rzeczywistości. Ponownie: głównym powodem, dla którego

obcokrajowcy nie inwestują więcej w rozwijającym się świecie jest wysoki poziom braku zabezpieczenia praw prywatnej własności.

Co więcej, w „rozwijającym się” świecie musi zostać zrozumiane, że pieniądz towarowy i system monetarny są niezwykle ważnym aspektem bezpieczeństwa. Przede wszystkim musi zostać zrozumiane podstawowe, fundamentalne prawo: że wzrost podaży papierowego pieniądza rządowego *nie może* — nigdy, przenigdy — zwiększyć społecznego bogactwa. W końcu jest to tylko wzrost ilości kolorowych kawałków papieru. Nie tworzy to żadnego dodatkowego dobra konsumpcyjnego lub produkcyjnego (kapitałowego). Innymi słowy, gdyby większa ilość papierowego pieniądza mogła przyczynić się do wzrostu bogactwa, jak to jest możliwe, że w dalszym ciągu są na świecie ludzie biedni? Jediną rzeczą, którą inflacja może osiągnąć i osiąga, jest systematyczna redystrybucja *istniejącego* społecznego bogactwa na rzecz rządu — jako producenta dodatkowej ilości pieniądza — oraz jego bezpośrednich klientów (na koszt tych, którzy muszą stale płacić wyższe ceny, podczas gdy ich przychód wyrażony w pieniądzu pozostaje niezmieniony). Inflacja pieniądza papierowego to kradzież i konfiskata, a rządy „rozwijających się” krajów są największymi przestępcami przeciwko bezpieczeństwu monetarnemu.

Moja rada dla słabo rozwiniętego gospodarczo świata: zdobądź reputację miejsca, w którym własność prywatna, w tym pieniądz, jest bezpieczna (pomyśl przykładowo o Szwajcarii). Wtedy zaczniesz prosperować. W przeciwnym razie — nie.

Co do pomocy ze strony MFW czy Banku Światowego, nie liczcie na to. Instytucje te są zamiast tego głównym źródłem gospodarczych szkód oraz dezinformacji. Zostały one utworzone przez zachodnie rządy, głównie przez USA po to, aby promować *ich* interesy. Są one zaludniane przez tysiące „ekspertów” — biurokratów na dobrze płatnych posadach, wymagających niewielkich nakładów pracy, oferujących egzotyczne dodatki do pensji. Jeśli są ekonomistami, to ci „eksperci” są najprawdopodobniej keynesistami; znaczy to, że nie istnieje dla nich problem, którego nie można by uleczyć pieniądzem papierowym. Biurokracja ta wspomagana jest finansowo papierowym pieniądzem, który amerykański rząd i jego sojusznicy „wykreowali z powietrza” (wydrukowali). Negocjuje ona (biurokracja) pożyczki dla rządów krajów w kłopotach, tarapatkach finansowych, przypuszczalnie po to, by je z nich wydobyć.

Z całej tej plejady i konstelacji można wysnuć następującą prognozę: jako że nie są to ich własne pieniądze ani żadnych prywatnych inwestorów, od których międzynarodowi biurokraci by je pożyczili, mają oni niewielki bądź żaden interes w tym, by ich propozycje odnośnie danych polityk faktycznie się sprawdziły oraz by pożyczki zostały spłacone. Co gorsza, ponieważ „rządy w tarapatach” są wspierane finansowo pożyczkami, kłopoty gospodarcze i postępowanie, które do tego doprowadziły są w zasadzie wspierane (pomyśl o Zimbabwie i Mugabe!). Wówczas, na przekór, fiasko przepisanych zasad postępowania dostarcza powodu dla dalszego istnienia i wzrostu instytucji. Co zrobiłby MFW, gdy rządy nie powodowały kłopotów gospodarczych? Tak więc powinno się unikać, a zarazem obawiać współpracy z MFW i Bankiem Światowym.